prof. dr hab. Marian Dobrosielski

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku neokonserwatywni intelektualiści, o niewielkich wówczas wpływach, m.in. Irving Kristol, Norman Podhoretz, Douglas Feith, Paul Wolfowitz, Richard Perle, Robert Kagan pracowali nad „Projektem dla Nowego Amerykańskiego Stulecia". Publikowali rozprawy, artykuły w różnych prawicowych, zimnowojennych czasopismach, pisali listy otwarte dla władz USA. Domagali się radykalnej zmiany polityki zagranicznej i bezpieczeństwa USA, w szczególności wobec szeroko rozumianego Bliskiego Wschodu. Opowiadali się za „twardą" militarną, unilateralną polityką z pozycji siły. Ich poglądy i publikacje stały się podstawą opracowania nowej „Strategii Narodowego Bezpieczeństwa USA" , którą kierował się przez swe obydwie kadencje prezydent G. W. Bush. Sformułowania tej strategii mówiące o konieczności „samoobrony USA" m. in. przez tzw. uprzedzające uderzenie, nie wykluczające użycia broni jądrowej, wywołały poważne kontrowersje i obawy w USA, Europie, na świecie .

Po szoku wywołanym przez zamachy terrorystyczne na Światowe Centrum Handlowe w New Yorku i na Pentagon w Waszyngtonie, symbole amerykańskiej potęgi gospodarczej militarnej, 11 września 2001 r. George W. Bush i jego ekipa, w której znalazło się kilka osób spośród wyżej wymienionych, przystąpili do natychmiastowej, bezwzględnej, brutalnej i okrutnej realizacji tej nowej strategii w polityce wewnętrznej i zagranicznej USA. Jej głównym wyrazem w polityce zagranicznej było rozpoczęcie „globalnej wojny przeciw terroryzmowi" najpierw w Afganistanie i kontynuowanie jej w Iraku oraz „niesienia wolności i demokracji do wszystkich zakątków świata".

Konsekwentna realizacja wspomnianej strategii miała zapewnić Ameryce w XXI wieku nie tylko militarną, lecz i polityczną, gospodarczą, technologiczną, cywilizacyjno-kulturową hegemonię nad światem. Różni eksperci, wśród nich Zbigniew Brzeziński, przewidywali, że potrwa ona co najmniej pięćdziesiąt lat. Nowe Amerykańskie Stulecie trwało jednak niespełna osiem lat i zakończyło się katastrofalnymi, trwającymi nadal wojnami w Iraku i Afganistanie, globalnymi kryzysami: finansowym, gospodarczym, żywnościowym, ekologicznym, energetycznym. Takie dziedzictwo pozostawił nowemu prezydentowi USA George W. Bush, chyba najgorszy prezydent w historii USA.

Prezydencka kampania wyborcza 2008 roku charakteryzowała się zaciętą, nieprzebierającą w środkach rywalizacją między republikańskim kandydatem Johnem Mc Cainem a demokratą Barackiem Obamą. Republikanin opowiadał się w zasadzie za kontynuacją neoliberalnej, neokonserwatywnej, agresywnej polityki G. W. Busha. Barack Obama obiecywał społeczeństwu USA i światu zdecydowane zerwanie z dotychczasową polityką USA i przeprowadzenie koniecznych, radykalnych zmian w niemal wszystkich dziedzinach polityki wewnętrznej i zagranicznej. Jak pamiętamy w sondażach opinii publicznej różnice poparcia kandydatów wynosiły tylko kilka punktów raz na korzyść republikańskiego, to znów demokratycznego kandydata. Prowokacja gruzińska (do dziś nie ma pewności, kto był jej rzeczywistym autorem) przysporzyła zdobycie kilku punktów przewagi Mc Caina, znanego ze swoich zimnowojennych i antyrosyjskich poglądów, nad Obamą, któremu republikanie zarzucili brak doświadczenia w polityce zagranicznej i zapewnieniu USA bezpieczeństwa.

Gdyby we wrześniu i październiku 2008 roku nie rozszalał się w USA kryzys finansowy i gospodarczy, to najprawdopodobniej wybory wygrał by Mc Cain. Na szczęście dla Ameryki i świata wygrał je Barack Obama. Wybór Baracka Obamy na prezydenta USA jest zasadniczym, pozytywnym przełomem w politycznej historii Stanów Zjednoczonych. Wielu ludzi w USA,

Europie, na świecie, którzy pragnęli zwycięstwa Obamy, obawiali się, że mimo jego przewagi w sondażach nad swym rywalem, liczni wyborcy deklarujący poparcie dla Obamy, w rzeczywistości oddadzą głos na Mc Caina. Ludzie ci mieli wątpliwości czy Ameryka dojrzała już by wybrać nie-białego prezydenta. Podzielałem te wątpliwości. Tym bardziej ucieszyło mnie zwycięstwo Obamy w wyborach prezydenckich. Warto jednak pamiętać, że przeciwko Obamie głosowało 46 % wyborców w USA.

Z wyborem na prezydenta Stanów Zjednoczonych Baracka Obamy wiązano w Ameryce i na świecie olbrzymie nadzieje i oczekiwania na radykalne zmiany w polityce USA, na zdecydowane odejście od katastrofalnej polityki swego poprzednika i zasadniczego przyczynienia się do rozwiązywania wspomnianych wyżej krajowych i globalnych kryzysów. Obama obiecywał tego dokonać w swej kampanii wyborczej. Głównym jej hasłem była: „zmiana" i przekonanie, że Obama potrafi jej dokonać („yes, we can"). Zadanie to wydaje się wręcz nie wykonalne i zapewne czeka wielbicieli i zwolenników Baracka Obamy nie jedno rozczarowanie.

W swym przemówieniu inauguracyjnym, 20 stycznia b.r., Obama, co jest zrozumiałe, poświęcił o wiele więcej miejsca problematyce wewnętrznej, aniżeli polityce zagranicznej. Mówił o tym, jakich sposobów i środków zamierza użyć by przezwyciężyć przede wszystkim kryzys gospodarczy i finansowy w USA. Nie ulega wątpliwości, że tej problematyce Obama już poświęca i będzie poświęcał o wiele więcej czasu i wysiłków niż polityce zagranicznej i problemom globalnym. Co warto, moim zdaniem, odnotować z przemówienia inauguracyjnego z problemów polityki zagranicznej USA i bezpieczeństwa międzynarodowego?

„Tkwimy w środku kryzysu. Nasz naród jest w stanie wojny przeciw sieci przemocy i terroru".

„Wybraliśmy nadzieję, nie strach. Wspólnotę celów – lecz nie niezgodę czy konflikt".

„Ameryka jest przyjacielem każdego narodu, który pragnie żyć w pokoju i godności".

„Zaczniemy przekazywać Irak samym Irakijczykom i doprowadzimy do trudnego pokoju w Afganistanie. Wraz ze starymi przyjaciółmi i byłymi wrogami będziemy pracować nad zmniejszeniem zagrożenia nuklearnego i będziemy zwalczać niebezpieczeństwo zmiany klimatu".

„Jesteśmy narodem chrześcijan, muzułmanów, żydów, hinduistów i niewierzących… Wierzymy, że stare wrogości zostaną przezwyciężone, że granice podziałów zatrą się. Świat staje się mniejszy, wspólne wartości ludzi będą coraz wyraźniejsze i Ameryka przejmie swą rolę, torowania drogi tej nowej erze pokoju."

„Zwracając się do świata muzułmanów powiadam: Poszukujemy drogi do przodu, drogi odpowiadającej interesom obu stron, na podstawie wzajemnego szacunku."

„Świat się zmienił. I dlatego my musimy się zmienić."

„Źródłem naszej ufności – jest wiedza, że Bóg nas wzywa byśmy współkształtowali nas los, który jest jeszcze nieznany."

Nie wiele tu nowych akcentów i jeszcze mniej konkretów. Wyraźne jest jednak zupełne odejście od aroganckiej i agresywnej retoryki G. W. Busha i nawiązanie do ducha wypowiedzi Lincolna i F. D. Roosevelta, dwóch prezydentów, do których poglądów i polityki Barack Obama często powraca. Ważne w tym przemówieniu jest nie tylko to, co nowy prezydent powiedział, lecz i to, czego nie powiedział.

Z tego, co powiedział nowe, wyraźne i pozytywne są, moim zdaniem, przede wszystkim dwa elementy. Zapowiedź dążenia do zmniejszenia zagrożenia nuklearnego i zmiany klimatu oraz sygnał nowego podejścia do stosunków z państwami muzułmańskimi. Wątpliwość budzą sformułowania gotowości przejęcia ponownego przywództwa nad światem i mesjanizmu USA.

Miejmy nadzieję, że to tylko tradycyjna retoryka przywódców amerykańskich oraz, że w praktyce Ameryka nie będzie dążyć do unilateralnej hegemonii światowej, nie będzie prowadzić polityki z pozycji siły, lecz wielostronnej współpracy z innymi mocarstwami i państwami świata, może jako primus inter pares, w rozwiązywaniu globalnych problemów, kryzysów i wyzwań.
Z tego, co nie powiedział bardzo ważne jest to, że zrezygnował z powtarzanej często przez G. W. Busha zapowiedzi „niesienia wolności i demokracji do wszystkich zakątków świata" i narzucania światu amerykańskich ideałów i wartości, wszelkimi możliwymi środkami, z militarną interwencją włącznie. Nie podkreślił kontynuowania „ globalnej wojny przeciw terroryzmowi" środkami i metodami stosowanymi przez swego poprzednika. Znamienne jest, że w swym wystąpieniu nie wymienił żadnych państw, ani przyjaznych, sojuszniczych, ani przeciwników czy wrogów, nie wymienił żadnych „osi zła" czy „państw zbójeckich". Te w sumie schematyczne fragmenty dotyczące polityki zagranicznej świadczą o tym, że Barack Obama nie miał jeszcze przed objęciem władzy konkretnej wizji tej polityki i jej praktycznej realizacji, poza głębokim przekonaniem o konieczności zmiany jej metod i środków.
Wspomniałem o wygórowanych oczekiwaniach, wielkich nadziejach związanych z wyborem Baracka Obamy i możliwych rozczarowaniach. Dla wielu liberalnych (w sensie politycznym, nie ekonomicznym) i lewicowych zwolenników Obamy pierwszym takim rozczarowaniem były nominacje prezydenta Obamy na kluczowe stanowiska w swym rządzie. Obiecywał, że będzie dążyć do przezwyciężania zarysowującej się polaryzacji społeczeństwa USA. W związku z tym, w jego ekipie obok bezpartyjnych fachowców, umiarkowanych republikanów, znaleźli się też ludzie o poglądach bliskich neoliberalizmowi i neokonserwatyzmowi. Neokonserwatyści nie ukrywali zadowolenia, któremu dawali wyraz w artykułach i deklaracjach. Znamienne są słowa jednego z czołowych neokonserwatystów, Richarda Perle'a: „Co za ulga. Wbrew oczekiwaniom sądzę, że nie będziemy świadkami bardzo wielu zmian. "
Nie będę charakteryzował głównych nominacji Baracka Obamy w innych dziedzinach niż polityka zagraniczna i bezpieczeństwa narodowego. Głównymi aktorami są w niej: Robert Gates, James Jones, Hillary Clinton, Thomas Mitchell, Richard Holbrooke, Susan Rice i John Kerry. Określony wpływ na kształtowanie polityki zagranicznej ma też wiceprezydent Joe Biden. Wymagającym i surowym reżyserem jest Barack Obama. Zanim przejdę do krótkiej charakterystyki wspomnianych aktorów, kilka uwag ogólnych o możliwościach swobody działania prezydenta USA. Posiada on niewątpliwie olbrzymią władzę, ograniczoną jednak wieloma różnorodnymi czynnikami. Oto niektóre z nich.
Kongres. Obama ma tu dość komfortową sytuację, co najmniej na najbliższe dwa lata. Dysponuje większością swej partii w obu izbach Kongresu. Nadzieja Obamy, że uda się przekonać republikanów do poparcia swoich projektów okazała się płonna. Zdecydowana większość republikanów już teraz głosowała przeciw finansowo – gospodarczym propozycjom Obamy. Na pewno nie może on liczyć na ich pełne poparcie w zasygnalizowanych kierunkach polityki zagranicznej. Obama musi liczyć się poważnie z opiniami „kompleksu militarno – przemysłowego", przed którym przestrzegał już Eisenhower, którego wypływy, szczególnie w okresie prezydentury G. W. Busha wzrosły niesamowicie. Nie bez znaczenia pozostaje wpływ wielkich koncernów zbrojeniowych, energetycznych, farmaceutycznych. Zwykle popierały one w wyborach republikanów. Tym razem podzieliły swe dotacje równo po połowie dla republikanów i demokratów. Niebagatelny wpływ wywiera na politykę zagraniczną Pentagon, CIA, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, koordynująca działalność szesnastu agencji wywiadowczych, aparat urzędniczy Departamentu Stanu i innych ministerstw. To wszystko trzeba mieć na uwadze w ocenie możliwości kształtowania przez prezydenta USA polityki zagranicznej i

bezpieczeństwa międzynarodowego i jej realizacji. To wszystko, rzecz jasna, musiał też i wziął pod uwagę Barack Obama w obsadzie głównych stanowisk swej ekipy.
Norman Birnbaum, wybitny publicysta amerykański, emerytowany profesor Georgetown University w Waszyngtonie pisze: „Tak, jak się sprawy mają, zmiana może być dokonana tylko z wewnątrz, z istniejących obecnie instytucji. ” Wydaje się to realistyczne i logiczne. Jest jednak tych nominacji osób pochodzących z dawnego establishmentu polityczno – militarnego zbyt wiele (poza kilkoma sympatykami republikanów, mnóstwo ludzi z byłego aparatu prezydenta Clintona) by można mieć przekonanie, że dojdzie do radykalnej zmiany dotychczasowej polityki zagranicznej. Nawet Birnbaum racjonalnie uzasadniający te nominacje, stawia jednak w tytule swego artykułu znak zapytania przed nową polityką zagraniczną, nowego prezydenta.
Z dotychczasowej obserwacji działań tej nowo – starej ekipy i samego prezydenta Obamy trudno wyciągnąć wyraźne, jednoznaczne wnioski o perspektywicznej strategii w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa międzynarodowego rządu Baracka Obamy. Tym bardziej, że obok wskazanych czynników wewnętrznych, które musi uwzględnić Obama, musi też brać pod uwagę reakcje głównych i innych aktorów sceny międzynarodowej na różne jego sugestie i propozycje.
Ale wróćmy do personaliów głównych aktorów polityki zagranicznej i bezpieczeństwa w ekipie Obamy. Przy ich charakterystyce opieram się w poważnym stopniu na wspomnianym artykule Normana Birnbauma.
Hillary Clinton. Jej poglądy są dość dobrze znane z okresu stażu senatora z Nowego Jorku i kampanii wyborczej 2008. Ostre ataki na Obamę, zarzucające mu m.in. brak doświadczenia w polityce zagranicznej. Twarde stanowisko wobec Rosji. Jednoznaczne poparcie agresji na Irak, polityki Izraela m.in. z uwagi na silne proizraelskie lobby w Nowym Jorku, które przyczyniło się do jej wyboru na senatora z tego stanu. Grożenie Iranowi zagładą w razie jego ataku na Izrael. W rządzie Obamy będzie musiała wiele swoich poglądów zmienić, o ile chce pełnić funkcję sekretarza stanu do końca pierwszej kadencji nowego prezydenta – uważa Birnbaum. I rzeczywiście. Mieliśmy oznaki tego, podczas jej przesłuchania w Senacie, w podróżach do Chin, na Bliski Wschód, czy na spotkaniu w Genewie z ministrem spraw zagranicznych Rosji, Siergiejem Ławrowem. Zresztą Hillary Clinton dobrze wie, że prezydent może bez większych kłopotów pozbyć się ministra, który nie realizuje jego polityki.
Obama zadbał o to, by Clinton nie miała monopolu na praktykę polityki zagranicznej. Mianował dwóch znakomitych profesjonalistów jako swych specjalnych ambasadorów i wysłanników: na Bliski Wschód (byłego senatora Thomasa Mitchella) oraz do Afganistanu i Pakistanu (b. podsekretarza stanu w administracji Clintona – Richarda Hoolbrooke’a). „Przez mianowanie Mitchella, Obama zasygnalizował pośrednio izraelskiemu lobby, że jego zupełna dominacja nad naszą polityką jest przeszłością” pisze Norman Birnbaum we wspomnianym artykule. Mitchell znany jest ze swego dążącego do obiektywizmu, wolnego od uprzedzeń stanowiska. Stosunki z Izraelem wystawiają Obamę na ciężką próbę. Richard Holbrooke jest zawodowym dyplomatą od dziesięcioleci o bogatym, różnorodnym doświadczeniu i samodzielnych poglądach. Wpływ na politykę zagraniczną będzie miał także niewątpliwie wiceprezydent Joe Biden, który przez wiele lat był przewodniczącym senackiej komisji spraw zagranicznych. To on na lutowej Konferencji Rozbrojeniowej w Monachium zasygnalizował „zresetowanie” stosunków USA z Rosją. Powtórzyła to później Hillary Clinton na spotkaniu z Ławrowem, a prezydent Obama wysłał list do prezydenta Miedwiediewa, na który ten polubownie odpowiedział.
Sądzę, że pierwsze konkretne decyzje zapadną na spotkaniu obu prezydentów w Londynie na początku kwietnia podczas konferencji państw G–20 na temat kryzysu finansowo –

gospodarczego. Przypuszczam, że jedną, a może jedyną z nich, poza deklaracjami dobrej woli, będzie wyznaczenie terminu rozpoczęcia rokowań dotyczących redukcji strategicznej broni nuklearnej. Rokowania takie mają duże szanse sukcesu. Za światem bez broni jądrowej, obok ruchów pacyfistycznych, rozbrojeniowych, alterglobalistycznych, wypowiadają się też od 2007 roku byli sekretarz stanu i obrony USA (Kissinger, Schultz, Perry i b. senator Sam Nunn), były inicjator polityki wschodniej, kanclerz, prezydent i minister spraw zagranicznych RFN (Schmidt, Weizsächer, Genscher, Bahr) liczni politycy i generałowie w Anglii i wielu innych krajów. Szkoda, że tego nie czynią polscy politycy, mimo, że właśnie Polska była inicjatorem koncepcji stref bezatomowych regionalnych i globalnej. Rzecz jasna, że świat bez broni jądrowej to na razie utopia, którą należy pielęgnować, ale osiągnięcie porozumienia w sprawie radykalnej redukcji istniejących na świecie blisko 30.000 głowic jądrowych jest możliwe i to jeszcze przed Przeglądową Konferencją Układu o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej (NPT) w 2010 roku w Nowym Jorku.

Wróćmy do dalszych, lecz może najgłówniejszych nominacji Obamy w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa międzynarodowego. Należy tu wymienić przede wszystkim pozostawienie na stanowisku sekretarza obrony Roberta Gatesa, który w drugiej kadencji G. W. Busha zastąpił jednego z głównych inspiratorów wojny w Iraku D. Rumsfelda. Gates to b. dyrektor CIA, specjalizujący się w problematyce rosyjskiej, o nieprzychylnym do Rosji nastawieniu. Ma on jednak bardzo poważne zasługi, wraz z innymi politykami, wojskowymi, przedstawicielami służb wywiadowczych, w nie udzielaniu Izraelowi zezwolenia USA na atak na Iran, jak i na powstrzymaniu samego Busha i niektórych jego neokonserwatywnych doradców od agresji na Iran. Gates był jednym z inspiratorów kontrolowanego przecieku pod koniec 2007 roku raportu szesnastu amerykańskich służb wywiadowczych, oceniającego, że „Iran od co najmniej 2003 roku nie realizuje programu militarnego produkcji broni jądrowej". Gates opowiadał się też za czasów G. W. Busha przeciw zbyt przesadnemu rozbudowywaniu potęgi militarnej USA i zwiększeniu roli dyplomacji w polityce zagranicznej USA.

Warto jeszcze wspomnieć, że na swego doradcę w sprawach narodowego bezpieczeństwa, stanowisko zwykle obsadzane przez osoby cywilne (m.in. Kissinger, Brzeziński) Obama mianował generała Jamesa Jonesa, byłego naczelnego dowódcy wojsk NATO. Ma opinię technokraty, nie kierującego się emocjami. Szefem CIA został Lern Panetta, były kongresmen i szef sztabu Clintona.

Te i inne nominacje Obamy były bardzo różnie przyjęte w USA i na świecie. Rozczarowaniem liberalnej (nie w sensie gospodarczym) lewicy, z zadowoleniem konserwatywnego establishmentu. Po ponad dwu miesiącach prezydentury Obamy (piszę ten tekst pod koniec marca) bardzo trudno jest wyrobić sobie zdanie czy praktyczna, lecz nie deklaratywna polityka wewnętrzna i zagraniczna Obamy zmierzać będzie do dokonania zapowiadanej zmiany, czy też będzie mieszanką nowej taktyki i starej strategii? Jak na razie wygląda to na mieszankę. Jest w tej polityce, jak dotąd, sporo sygnałów wskazujących na nowatorstwo, jak i na kontynuację. Obama, co jest zrozumiałe koncentruje się na wewnętrznej polityce gospodarczej. Jeśli idzie o politykę zagraniczną wysyła swych dyplomatów do różnych regionów i państw świata w celu przeprowadzenia rekonesansu i dokonania konkretnej analizy aktualnej sytuacji międzynarodowej oraz reakcji na wysyłane przez Waszyngton sygnały. Po przemówieniu inauguracyjnym, w którym bardzo ogólnie, by nie powiedzieć ogólnikowo, odniósł się do problematyki międzynarodowej, pozwolił wypowiadać się członkom swej ekipy, lecz sam wystąpił jedynie z inicjatywą zawartą w liście do Miedwiediewa.

Jednym z bardzo istotnych, skomplikowanych problemów, które odziedziczył Barack Obama po

G. W. Bushu, to sprawa stosunków z Iranem i jego rzekomym czy rzeczywistym dążeniem do zdobycia broni jądrowej. Problem ten budzi poważne kontrowersje wśród członków rządu G. W. Busha i amerykańskiej opinii publicznej, jak i wśród sojuszników USA. Sam Bush, wiceprezydent Cheney, liczni neokonserwatyści z ekipy Busha oraz Izrael opowiadali się za prewencyjną, czy jak kto woli, preempcyjną akcją militarną przeciw Iranowi. Polityczni realiści i pragmatycy, wśród nich m.in. ówczesny i aktualny minister obrony Robert Gates, niektórzy generałowie, szef CIA oraz przedstawiciele innych służb wywiadowczych sprzeciwiali się akcji militarnej przeciw Iranowi.
Jak pamiętamy, w listopadzie 2007 roku ukazał się raport amerykańskiej „Wspólnoty Wywiadu" (Intelligence Community) pt. „ Iran: Nuklearne Zamierzenia i Zdolności ". Był on syntezą ocen 16 służb wywiadowczych USA. Stwierdzał m.in.: „Iran od co najmniej 2003 roku nie realizuje programu produkcji broni jądrowej". Był to poważny cios w politykę ekstremy neokonserwatystów i Izraela, którzy przez eskalację oskarżeń Iranu wzmagali nastroje militarnego uderzenia na Iran. Wspomniany raport był jednym z głównych czynników, zapobiegających zezwoleniu Izraelowi zaatakowania Iranu i zaangażowaniu się USA w „obronę" Izraela.
Stanowisko Obamy wobec Iranu jest przysłowiową mieszanką nowych i starych elementów polityki zagranicznej USA. W marcowym posłaniu do władz i ludności Iranu Obama ogłasza „nowy początek" w stosunkach z tym państwem. Istniejące różnice powinny być przezwyciężone drogą dialogu i dyplomacji. Groźby powinny być zaniechane.
Stany Zjednoczone zaprosiły Iran do udziału w konferencji 72 państw w sprawie Afganistanu (Haga 31 marca b.r.). Iran zaproszenie przyjął delegując na tę konferencje wiceministra spraw zagranicznych Mehdi Achundzaofena, który stwierdził, że Iran jest gotowy pomóc w odbudowie Afganistanu. Spotkał się też z Richardem Holbrookiem specjalnym wysłannikiem USA do Afganistanu, Pakistanu i Indii. Ich rozmowy zostały uznane za obiecujące i będą kontynuowane. Z drugiej strony jednak, już w lutym b.r. Obama przedłużył o rok istniejące sankcje wobec Iranu. Oświadczał też, że zdobycie przez Iran broni jądrowej jest nie do przyjęcia, oraz, że nie wyklucza użycia środków militarnych by temu zapobiec. Iran służy też Obamie za pretekst kontynuacji prac nad stworzeniem systemu obrony antyrakietowej.
W pierwszych miesiącach swej prezydentury Barack Obama koncentrował się przede wszystkim na problematyce amerykańskiego i globalnego kryzysu gospodarczo–finansowego, ale też przygotowywał się na swoje „wielkie wejście" do polityki zagranicznej i bezpieczeństwa międzynarodowego. Miała nim być podróż do Europy. W ciągu pierwszego tygodnia kwietnia b.r. Obama spotkał się w Londynie z przedstawicielami głównych państw i regionów świata. Przeprowadził dwie niezmiernie ważne i owocne rozmowy z prezydentami Rosji i Chin. Przedstawił swą wizję wyjścia z globalnego finansowo–gospodarczego kryzysu. W Strasburgu i Kehl uczestniczył w szczycie NATO, odbył bilateralne rozmowy z prezydentem Francji i kanclerzem Niemiec. Nakłonił Turcję do wycofania weta w sprawie wyboru na nowego sekretarza generalnego NATO premiera Danii. W Pradze przed szczytem UE–USA wygłosił płomienne przemówienie do 30.000 ludzi o konieczności dążenia do świata bez broni jądrowej. Zignorował zaproszenia na bilateralne spotkania kłócących się premiera i prezydenta Czech. Sądzę, że nie sprawiła mu wielkiej przyjemności krótka rozmowa z kłócącymi się prezydentem i premierem Polski. (Aktywność Polski na szczycie NATO i UE–USA przejdzie do annałów jako jeden z największych blamaży polskiej dyplomacji). W Turcji ponowił swe zapewnienie o „nowym starcie" USA w stosunkach ze światem muzułmańskim i poparł aspiracje Turcji wejścia do Unii Europejskiej, co nie spodobało się niemieckim chadekom i wielu francuskim i innym

europejskim politykom. Podczas swej europejskiej podróży wygłosił kilka przemówień do młodzieży, bardzo dobrze przyjętych.
Europejska podróż Obamy miała być i byłą okazją do prezentacji poglądów nowego prezydenta USA dotyczących głównych globalnych gospodarczych i politycznych problemów świata i sprawdzeniem jego już nie tylko znakomitej retoryki, ale i dyplomatycznej sztuki negocjacji. Obama przeszedł tę próbę znakomicie.
Przeczytałem mnóstwo relacji o europejskiej podróży Obamy, jego rozmowach i wystąpieniach. Przestudiowałem wszystkie końcowe komunikaty wspomnianych szczytów i bilateralnych rozmów Obamy z prezydentami Rosji i Chin. Zamierzałem syntetycznie o tym napisać. Przekroczyłoby to jednak wielokrotnie ramy artykułu dla „Przeglądu Socjalistycznego". Muszę dokonać selekcji. Sądzę, że bardzo ważnymi wydarzeniami w czasie tej podróży były dwustronne rozmowy prezydenta USA z prezydentami Rosji i Chin. Były to autentycznie partnerskie rozmowy. Skoncentruję się w tym artykule do omówienia jedynie wspólnego komunikatu z rozmowy Baracka Obamy z Dimitriem Miedwiediewem. Sądzę, że z punktu widzenia bezpieczeństwa europejskiego i globalnego, z punktu widzenia Polski, wyniki tej rozmowy były najdonioślejszym i jednym z najbardziej konkretnych osiągnięć europejskiej podróży Baracka Obamy. Za rozczarowujące uważam wyniki szczytu NATO. Do problematyki NATO, obchodów jego 60-lecia, 10 rocznicy wstąpienia Polski do NATO, szczytu EU–USA wrócę w następnym numerze „ Przeglądu Socjalistycznego" .
Obserwatorzy podkreślają, że rozmowa prezydentów USA i Rosji przebiegała w dobrej atmosferze, była konkretna i konstruktywna. Jej głównym wynikiem jest decyzja bezzwłocznego rozpoczęcia bilateralnych negocjacji, dotyczących zawarcia prawnie wiążącego, weryfikowalnego układu o redukcji i ograniczeniu strategicznych broni nuklearnych (Bush tego nie chciał). Ma on zastąpić tzw. układ START, który wygasa w grudniu tego roku. Nie jest wykluczone, że układ ten zostanie zawarty w lipcu b.r. podczas wizyty Baracka Obamy w Rosji. Będzie to mieć ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa międzynarodowego. Przyczynić się może do ożywienia realizacji, również przez mocarstwa nuklearne, Układu o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej (NPT). Układu, który w związku ze stanowiskiem rządu G. W. Busha groził rozpadem i dalszym rozprzestrzenianiem broni masowej zagłady.
Zawarcie wspomnianego bilateralnego układu może być poważnym krokiem w dążeniu do świata wolnego od broni atomowej. Zabiegały i zabiegają o to ruchy pokojowe, antymilitarystyczne i antyzbrojeniowe od czasów zrzucenia bomb na Hiroszimę i Nagasaki. Mile zaskoczył mnie wspólny artykuł Aleksandra Kwaśniewskiego, Tadeusza Mazowieckiego i Lecha Wałęsy: „Świat bez broni jądrowej" (Gazeta Wyborcza" 3 kwietnia b.r.). Nie czytałem w polskiej publicystyce od dawna już tak rozsądnego, rzeczowego, doskonale uzasadnionego artykułu, dotyczącego zobowiązania nuklearnego i konieczności dążenia do eliminacji broni jądrowej z arsenałów państw ją posiadających.
We wspólnym komunikacie prezydentów Rosji i USA czytamy m.in.: „Jako przywódcy dwu największych państw z bronią nuklearną, zgodziliśmy się współpracować w celu wypełnienia naszych zobowiązań wynikających z artykułu VI układu NPT". Artykuł ten zobowiązuje mocarstwa nuklearne do podejmowania zdecydowanych kroków, zmierzających do eliminacji broni jądrowej ze swych arsenałów. „Zobowiązaliśmy nasze państwa do osiągnięcia świata wolnego od broni jądrowej". To cel dalekosiężny, lecz realistyczny i konieczny.
W pierwszych zdaniach komunikatu czytamy, że „minęła już dawno era, kiedy nasze państwa uważały się za wrogów". „Jesteśmy zdecydowani współpracować, by umocnić strategiczną stabilność, międzynarodowe bezpieczeństwo i wspólnie stawić czoła współczesnym globalnym

wyzwaniom, przy czym otwarcie i uczciwie ustosunkowywać się do różnic w zdań w duchu wzajemnego szacunku i uznania perspektyw każdego z nas". Warto, by polscy aktualni przywódcy i politycy dokładnie to przeczytali i wyciągnęli odpowiednie wnioski dla swej wschodniej polityki.

Komunikat zawiera sformułowanie dotyczące różnicy zdań w sprawie celów instalacji elementów obrony antyrakietowej w Europie: „Dyskutowaliśmy o nowych możliwościach wzajemnej międzynarodowej współpracy w dziedzinie obrony antyrakietowej, biorąc pod uwagę wspólne oceny wyzwań i zagrożeń związanych z bronią rakietową, w celu wzmocnienia bezpieczeństwa naszych krajów praz naszych sojuszników i partnerów". Przytoczyłem ten fragment komunikatu in extenso. Jest on bowiem różnie interpretowany. Zwolennicy tarczy antyrakietowej odczytują go jako zapowiedź kontynuowania prac nad instalacją jej w Polsce. Dla mnie to dyplomatyczne sformułowanie oznacza, że z tarczą antyrakietową w Polsce, możemy, na szczęście, definitywnie się pożegnać. Dobrze byłoby by nasi politycy, prezydent, jego brat, premier Tusk, minister spraw zagranicznych i obrony i inni zdali sobie z tego sprawę i w rozmowach z Amerykanami nie przekonywali ich nadal, że mają bronić swego bezpieczeństwa w Polsce, będącej ich przedmurzem.

Ważnym elementem komunikatu jest zobowiązanie prezydenta Obamy doprowadzenia do ratyfikacji przez USA „Układu o całkowitym zakazie prób z bronią jądrową". G. W. Bush był temu przeciwny. Komunikat podkreśla, że rozmówcy zgodzili się na bilateralną współpracę w celu rozwiązywania konfliktów regionalnych. Uznali, że „al Kaida i inne ugrupowania terrorystyczne i rebelianckie, operujące w Afganistanie i Pakistanie, są wspólnym zagrożeniem dla wielu państw, włącznie z USA i Rosją". Obydwie strony zobowiązały się do współpracy z ONZ i innymi organizacjami w zwalczaniu przepływu narkotyków z Afganistanu oraz dążeniu do stabilizacji, odbudowy i rozwoju Afganistanu. Rozmówcy uznali, że: „Iran ma prawo do rozwoju cywilnego programu nuklearnego". Iran powinien wykazać jego wyłącznie pokojowy charakter. Wezwali Iran do dyplomatycznych, bezpośrednich negocjacji.

„Rozpoczęliśmy dialog o bezpieczeństwie i stabilności w Europie. Mimo, że nie zgadzamy się na temat przyczyn i sekwencji działań militarnych z sierpnia ubiegłego roku (Osetia, Gruzja – M. D.), zgodziliśmy się na kontynuowanie wysiłków w celu pokojowego i otwartego rozwiązania obecnej niestabilnej sytuacji". Uzgodniono podjęcie dialogu na temat wzmocnienia euro–atlantyckiego i europejskiego bezpieczeństwa, włącznie z istniejącymi zobowiązaniami i propozycjami prezydenta Miedwiediewa z czerwca 2008 roku. Zaznaczę, że te istotne propozycje prezydenta Rosji, nawiązujące do KBWE, były dotychczas przez Zachód ignorowane. W komunikacie podkreślono rolę OBWE i Rady NATO–Rosja w rozpatrzeniu wspomnianej problematyki.

Rządy USA i Rosji mają podjąć wysiłki by możliwie najszybciej sfinalizować przyjęcie Rosji do Światowej Organizacji Handlu i tworzenia sprzyjających warunków rozwoju ekonomicznych więzów Rosja–USA.

Komunikat kończy oświadczenie, że przywódcy Rosji i USA „gotowi są przezwyciężyć mentalność zimnowojenną i nadać nowy start bilateralnym stosunkom, przełożyć nasze ciepłe słowa w aktualne osiągnięcia dla dobra Rosji, USA i wszystkich zainteresowanych pokojem i dobrobytem na całym świecie".

Przed spotkaniem prezydentów USA i Rosji dość powszechnie uważano, że może na nim dojść do porozumienia w sprawie zawarcia układu o redukcji broni jądrowej, co byłby nie tylko w interesie wspomnianych obu państw, lecz i całego świata. Zagrożenie wojny nuklearnej nie zniknęło, jak spodziewano się wraz z zakończeniem zimnej wojny. Oblicza się (m.in. SIPRI), że

na świecie istnieje 25 – 30 tysięcy głowic jądrowych, zdolnych do natychmiastowego użytku, nie licząc nieznane ich liczby w magazynach USA i Rosji. Te dwa państwa posiadają 95 procent wszystkich zasobów broni jądrowej świata. W koncepcjach strategicznych USA, Rosji, Francji, Anglii, NATO, UE nie wyrzeczono się „użycia broni jądrowej jako pierwsze państwo". Zawierają one też szaloną amerykańską koncepcję prewencyjnego, czy jak kto woli „preempcyjnego" uderzenia nuklearnego. Ten stan przyczyniał i przyczynia się do stagnacji układu NPT i groził jego rozpadem podczas, odbywającej się co pięć lat, Przeglądowej Konferencji realizacji tego układu na wiosnę 2010 roku. Decyzja obu prezydentów zapewne do tego nie dopuści.
Nie wielu komentatorów i polityków spodziewało się jednak, że rozmowa obu prezydentów przyniesie i inne pozytywne wyniki. Miejmy nadzieję, że pozytywne deklaracje o współpracy w rozwiązywaniu globalnych problemów bezpieczeństwa i innych będą zgodne z ich konkretnymi, rzeczywistymi działaniami.
Kończąc sądzę, iż można powiedzieć, że w dotychczasowych działaniach rządu Baracka Obamy w dziedzinie polityki zagranicznej i międzynarodowego bezpieczeństwa mieliśmy do czynienia z kontynuacją w niektórych dziedzinach dotychczasowej polityki USA (n.p. Afganistan, Pakistan, w poważnym stopniu Irak) oraz z „nowym początkiem" w polityce wobec Iranu i świata muzułmańskiego w ogóle, z „zresetowaniem" stosunków z Rosją i Chinami, z odejściem od nachalnego głoszenia przez G. W. Busha niesienia wartości amerykańskich, „wolności i demokracji do wszystkich zakątków świata", m.in. drogą korupcji i przemocy. Obama, przynajmniej w deklaracjach, odstąpił też od instrumentalnego traktowania swych sojuszników przez neokonserwatystów ekipy Busha. Stwierdza, że chce wysłuchiwać opinie swych sojuszników i innych państw, nie narzucać im swoich poglądów, lecz dążyć do kompromisów. Nie chce budzić grozy i lęku, lecz przez dokonywanie zapowiedzianych w kampanii wyborczej zmian dążyć do rozwiania tego lęku. Zmiany te przywrócą optymizm i uzasadnione nadzieje na lepsze czasy dla Ameryki i świata.
Mój optymizm bez złudzeń, dotyczący nowej polityki zagranicznej USA, przyćmiewają jednak takie fakty, jak powtarzanie przez Baracka Obamę twierdzeń o „wyjątkowości" Ameryki i jej gotowości by „znów przewodzić światu". Mam nadzieję, że są to zwroty retoryczne, należące do tradycji oracji politycznych USA. Zacząłem ten artykuł od stwierdzenia, że era unilateralnej dominacji świata przez USA bezpowrotnie minęła. Świat staje się coraz bardziej multilateralny. I w świecie tym USA, przy takim przywództwie jak Baracka Obamy, mogłaby nawet odegrać rolę „primus inter pares". Chiny, Indie, Rosja, Brazylia i wiele innych państw nie podda się dyktatowi USA, do czego dążył nieudolnie G. W. Bush ze szkodą dla USA i całego świata.
O wiele bardziej jednak mój optymizm został przyćmiony liczbami budżetu USA na 2010 rok (rozpoczynający się od 1 października b.r.) Wydatki na obronę mają wynieść 533,7 mld USD, tzn. będą o 4 procent wyższe niż w 2009 roku. Do tego dochodzi 130 mld USD na wojny w Iraku i Afganistanie oraz 75,5 mld USD na nieprzewidziane okoliczności związane z bezpieczeństwem USA. Razem to kwota ponad 739 mld USD, większa niż wydatki wszystkich państw świata razem wzięte na cele militarne w 2008 roku. Budżet USA przewiduje też „pakiety ratunkowe dla banków" w wysokości 1.450.mld USD. Natomiast na opiekę zdrowotną jedynie 76,8 mld USD, na oświatę 46,7 mld USD, na dyplomację (Departament Stanu) 51,7 mld USD. Komentarz zbyteczny. Sądzę, że w polityce międzynarodowej USA będziemy mieli do czynienia z przeplataniem się starych i nowych elementów. Które przeważą? Oto jest pytanie.

przełom marca/kwietnia 2009

Odnośniki:

The White House , The National Security Strategy of the United States of America , Washington 2002.

W mojej książce: "O historii, mitach i faktach", Warszawa 2004, omawiam tę problematykę w dwu rozdziałach: ‘Europejsko-amerykańskie kontrowersje wokół nowej strategii bezpieczeństwa międzynarodowego USA’ oraz ‘ Prawo silniejszego a siła prawa’ str. 117 – 154.

Naomi Klein, w swej najnowszej książce „Doktryna Szoku”, opisuje na ponad stu stronach (317-423) „terapię szokową” , zastosowaną przez rząd G.W. Busha w polityce wewnętrznej i zagranicznej USA, szczególnie w wojnie i okupacji Iraku.

Patrz „Current Concerns”, (Zürich), Grudzień 2008 nr. 17, str. 3.

Norman Birnbaum, Neuer Präsident, neue US- Aussenpolitik? (Nowy Prezydent, Nowa Polityka Zagraniczna USA?), Blätter für deutsche und internationale Politik 3/2009, str. 33 – 34.

Nationa; Intelligence Estimate. “Iran: Nuclear Intentions and Capabillities”, Washington 2007.

Marian Dobrosielski, prof. dr hab. emerytowany profesor UW, dyplomata, przewodniczący Rady Programowej „Przeglądu Socjalistycznego”